ROZMAITOŚCI.

Dnia 27. Lutego. № 9. Roku 1856.

RIBEIRA

czyli

OBRAZ ZA TARCZĘ.

I.

Obraz ten, to sława moja, wykrzyknął Ribeira, prowadząc zdala okiem po płótnie rozpiętém, na którém właśnie dzieła dokonał — prawdziwie to arcydzieło moje, i Caravagio dziś musi przyznać, że we mnie ma mistrza. Ani się tknę go więcéj; — i na to rzucił paletą i pędzlami, niepatrząc za siebie, że się rozleciały po izbie, i nie słyszał że ugodziły w portret świéżo zaczęty. Co go to obchodzić mogło w chwili, gdy zatopiony w widoku dzieła swego całą duszę swą przenosił z krések do kropek, z kropek do krések zlanych z taką sztuką i wdziękiem w jednolity otok piękności. W zachwyceniu dla niego świat był niemy, albo on sam głuchy, że tylko siebie rozumiał; i ktoby z ustronia się przysłuchywał, sądziłby że Cicerone włoski gościa cudzego oprowadza, z takim zapałem sam sobie wyliczał Ribeira wszelkie piękności w obrazie i owe cuda sztuki, które potomność z poszanowaniem od poprzedników odziedziczyła i z upokorzeniem przed ich powagą uwielbia.

Chwilami nawrotem do położenia swego przerywał rozpamiętywania, i sam o sobie pomawiał: O wiedziałem że tu w tém czole iskra talentu żarzy, i choć bym zginął, już imię moje w niepamięć nie pójdzie. Ale mam w Bogu nadzieję, że mię uchowa jeszcze czas jakiś, bo nie na to objawił mi w kolebce tajemnicę malarstwa, ażebym nieobjawioną w trumnę zagrzebał; dozwoli mi spożywać sławy nabytéj. Nim do niéj doszedłem, przedzierałem się przez wszystkie stopnie trosk i ubóstwa a i nieufności we własną mą zręczność; popod kościoły i po zaułkach szukałem nieraz przytułku głowie téj, którą trapiły widma dostojeństw i nadziei ponęty. Często umierałem z głodu, a płótna nie mając palcami ryłem po piaskach nadmorskich postacie ludzkie, którenu pomiatał wiatr i fale wodne; ileż to razy wywnętrzałem myśli moje po murach i bramach zamkowych, a panowie nie mieli ni pojęcia

ani uczucia niemėj prośby ubogiego ale hardéj duszy malarza, który nie jak prosty żebrak, przychodził domawiać się wsparcia, ale nie jałmużny; ślepowrony, służalcom zeskrobywać i wycierać kazali co utrzęsała dusza artysty. Ale o Boże! nie żalę się cierpienia mego, wymierzyłeś oku mojemu metę i pobłogosławiłeś mi, że własną siłą i natężeniem dopiąłem kresu, z wiarą i z przekonaniem własném mogę stać śmiało w mém powołaniu; bo ci którym dozwoliłeś iść przodem ludów, muszą jak umiłowany syn twój, nasz Pan i Zbawiciel nosić piérwsi cierniową koronę.

I rozpamiętywaniom końca nie było; ale weszła do celi artysty gosposia jego, Beata poczciwa, niespracowana opatrzycielka chudoby artysty choć już okryta zmarszczkami jak pajęczyna nasnuta ciężarem wieku; stawia przed nim drewniany talerz z posiłkiem. Malarz i jéj wnijścia nie słyszał.

Stara ujźrzawszy go w roztargnieniu, zaczęła sama rozmowę. Zasłyszałam, idąc, że gadasz, myślałam żeś się z szatanem pobratał. Cóż ci nie staje, że się tłuczesz jak Marek po piekle; albo się śni ci na jawie, albo z duchami rozprawiasz. Śliczne mi dzieło! to tylko zły duch mógł ci podbechtać, włosy mi stają ilekroć na ten obraz popatrzę; i jeszcze trzeba mu było trzy miesiące ani się z miejsca ruszać! Tfu! kiedy marnujesz twój czas i talent na szkaradzieństwach takich, nie dziwuj-że się że Wicekról nasz Hrabia Monterry ciebie nie patrzy. Bo proszę, komuż by się zachciało takiego cudactwa?

Czy tak? Beaciu — zagadnął Ribeira, głaszcząc staruszkę po ramieniu, korzę się ze wstydem, że ci się nie podoba.

Ukorzysz się gorzéj, mówi staruszka, jak z głodu umrzesz; bo choć obiad dzisiejszy chudy, radabym ażeby i jutro na taki stało; lecz to już na ciebie składam; ze mnie już dosyć, dziś w worku pustki — a co mię gniewa najbardziéj, że byś był w stanie zarobić — i rozum jest i uroda, i talent. Czemu nie kończysz portretu hrabiny Venutty? Hu? Dama by złotem okryła swoje oblicze, a pochwały przytém, a protekcya u Wicekróla przez nią, czy to mało, myślisz? Wszak to błogosławieństwo boże ją tu przywiodło, a z ciebie dziwak, kazał mi jeszcze powiedzieć że go w domu niema! Bóg świadkiem, ile mnie takie brzydkie kłamstwa kosztują. Ale popraw się, miéj téż rozum na przyszłość.

Tylkoż mi nie wspominaj o twojéj jejmości Beaciu! zawołał Ribeira, wygląda jak dynia, ani wyrazu w oku, odmalowałbym ją brzydszą niż jest! Ba! gdyby-to wzór z tego dziéwczęcia co przed trzema miesiącami widziałem! — umyślnie z domu nie wyłaziłem, ażeby widok jéj nie zamącał mi méj samotności. Co ją! portretowałbym „con amore“.

Beata ani słuchała co malarz prawił, wzniesła tylko ramionami, i pomruczała do siebie: „ot składa niedbalstwo swoje na brzydotę hrabiny“ i odwróciła się. O Jezusie! cóż to jest, wykrzykła nagle, wszak tu na prawdę musiałeś się miotać z czartami! a portret hrabiny na ziemi i oko podbite!

Ah! zawołał artysta śmiejąc się na głos, to prawdziwe moje dzieło z natchnienia, żałuję tylko że się nie dostało oryginałowi, byłbym się na wieki pozbył nudnego upiora, a możebym i lepiéj wyszedł, bo bym malował z profilu.

Bredzisz mój mistrzu, odpowie Beata, podziękuj niebu, że ci zachowało jeszcze kilku przyjaciół rozsądnych, którzy o tobie myślą. Czemu się nie ubierzesz i nie pójdziesz do pana Krzysztofa Panolfo? czekają cię.

Któż-to ten pan?

Najbogatszy kupiec w Neapolu.

Nie znam go.

Cóż z tego? byle on ciebie znał. Mówiono mu o tobie i powziął dobrą otuchę o twojéj zręczności; dla tego chciałby co mieć od twojéj ręki. Z takimi sprawa to złota góra. Czy może i to odrzucisz?

Wcale nie, jeźli ten Panolfo jest znawca a przyjdzie do mnie, naznaczy cenę jaką sam zechce.

Co? a ty sam nie pójdziesz do niego?

Ribeira odwrócił się i zaczął nucić.

Oh! Mój Mości, wykrzyknęła Beata stawiąc się groźnie, a ja ci powiadam że do Panolfa pójść musisz, choćbym cię miała wlec przez całą drogę za kołnierz.

Ribeira pochwiał głową, bo lubił się drażnić kiedy był wesół.

Nie wierzysz? załóż się że cię przymuszę. Wstydź się! postępowanie twoje niegodne, i idzie ze złego serca. Albo ty sam-eś na świecie, że tak sobie pozwalasz? Jego świątobliwość nasz Ojciec Święty pozwolił mi jadać skrumno, bom stara, a ty mię przymuszasz pościć! że sam chcesz się zamorzyć, to myślisz że ja mam z czego się żywić? Moje kochane dziécię, mówiła daléj, łagodniejąc rozczulona sama nad sobą, wiem że mię kochasz i radbyś przyjaźnią odpłacić moją troskliwość o cię; jeźlim cię obraziła przymawiając obrazom twoim, musisz wybaczyć życzliwości mojéj, i zaraz biegnąć do domu Panolfa. Masz, oto szpada twoja, kapelusz, co ci tak ślicznie do twarzy kiedy troszkę na bakier; a przykryj płaszczem kaftan przytarty; tak! widzisz jaki ty ładny, podnieś głowę moje dziécię, światu patrz w oczy śmiało, a podkręcaj wąsa. Niech zginę jeźli nie wyglądasz jak Carlo Quinto, jak by go z oka wykroił. A jak zastaniesz kogo z dam w domu Panolfa, pamiętaj wypogodzić czołko, i łagodnie spoglądać. Kiedyś i mnie służyły lata, i wiem co mówię.

I w ciągu tych upomnień wyprowadziła Ribeirę z celi, a ze schodów jeszcze wołała:

Z tamtéj strony u rogu ulicy zapytaj się o kupca Panolfa; a niezapominaj jak się nazywa; mieszka Piazza reale, prawie naprzeciw pałacu Wicekróla. Idź z Bogiem, idź, a wracaj z czém dobrem.

II.

O sto kroków za domem, jeszcze się wahał Ribeira, czy pójść czy nie pójść do kupca; ale go zeszedł Ottavio, dawny przyjaciel, także malarz, lecz dworak i układny niezmiernie, co mu zjednało przystęp, i łaskę i opiekę u Wicekróla. Postrzegłszy Ribeirę, zbliżył

się i z uniesieniem radości jak dawny przyjaciel:

Zkądże ty tu się wziąłeś? zawołał, wieki-m cię już nie widział; czyś zmartwychwstał?

Siedziałem nad pracą, odpowie Ribeira. Ale gdzie twoje tylokrotne przyrzeczenia wprowadzić mię przed Wicekróla?

O nieba! wykrzyknął Ottavio, i dzień żaden nie mija, bym cię nie polecał łasce Jego Mości. Ale co chcesz? nie widać cię nigdzie. Gdyby przynajmniéj choć co twego pokazać Hrabiemu.

Czy myślisz, żeby go to ujęło?

Jak to? przy takim talencie jak twój! ani wątpić. Dosyć na twoje dzieło spojźrzéć, samo przemówi. A ja znowu od czego? ja piérwszy wykrzyknę: cudownie! doskonale! pysznie!

Więc najlepsza dziś pora — dodaje Ribeira, właśnie dziś skończyłem obraz jeden, i bez chluby rzec mogę, że dotąd i w połowie nic tak doskonałego nie wypłynęło mi zpod ręki. Czy chcesz się przekonać? wróć ze mną.

Teraz niepodobna, na to odpowiedział Ottavio, bo w téj chwili zapowiedzianą mam schadzkę, ale jutro, pojutrze... zwłaszcza jak sam powiadasz, teraz najlepsza pora, i zaniedbać jéj się niegodzi... Pomówię z Hrabią o tobie, spuść się na mnie. Teraz bądź zdrów kochany kolego, bądź zdrów.

I pospieszył z tém, gdzie mu się chciało.

Ha! więc ja do kupca — mówi Ribeira do siebie, lepsza jeszcze ohydna opieka od cudzych, niż obłudna przyjaźń od swoich. Trzymaj się, trzymaj gdzieś się wciulił mój panie. Zamknijcie bramy pałacu przede mną, bo jak wlezę kiedy, powypędzam do jednego jak Chrystus przekupniów z kościoła. Ah ah! moi panowie, zazdrościcie mi talentu, boicie się, i ażeby mię uspić złote góry obiecujecie, i pod skrzydła wasze bierzecie. Ale chyba-bym całe życie jak wy zostawał gwazdaczem, bym sobie mimo was i wasze wybiegi nie udeptał toru.

(Dokończenie nastąpi.)

CHATKA W LESIE.

DZIWACTWO DRAMATYCZNE,

przez

Władysława Syrokomlę.

CZĘŚĆ DRUGA.

WYJĄTEK.

USTĘP DRUGI.

(Rzecz w Restauracyi.)

P. MARSZAŁEK, OJCIEC MARYI, i P. SĘDZIA PŁODOZMIAN.

Marszałek *(przeglądając na kartę potraw).*

O dzisiejszym obiedzie dobrą mam otuchę.

(do służącego)

Dasz nam chłodnik... potrawkę... jeśli mięso kru-
(che...
A na trzecie....

(zamyśla się)

bekasa....

Sędzia.

Ale przed bekasem
Pan Marszałek staruszki wypije tymczasem;
Chłopcze! daj staruszeczki.

Marszałek.

Prędko przynoś jadło!

Sędzia.

A widzi pan Marszałek, jak dobrze wypadło,
Że dzisiaj kropnął deszczyk — toć dróżka nie
(kurzy.

Marszałek.
Powiem ci, panie Sędzio — ten projekt podróży
Wcale mi nie do smaku, choć ja lubię drogę....
Zamykam się w powozie— no! i chrapnąć mogę....
Ale rozpacz porywa w obiadowéj porze:
Znasz, Sędzio, nasze karczmy...
Sędzia.
Niedopuszczaj Boże!
Znajdziesz tam kwaśne piwko i śledzia kawałek...
Marszałek.
Więc na lichoż ta podróż?
Sędzia.
Widzi pan Marszałek,
Trudno czasem odmówić prośbom pięknéj buzi:
„Chce kobiéta — chce Pan Bóg" — tak mówią (Francuzi.
(przyjmując od służącego podany kielich gorzałki)
W rączki pana Marszałka!
(wypija mały kielich a naléwa Marszałkowi większy)
Staruszeczka przednia!...
Córka pana Marszałka chce jechać do Wiednia,
Chce zwiedzić brzegi Renu — zabawić w Trye- (ście;
Marszałek.
A chłodnik czy podadzą?
Sędzia.
Chce do Rzymu wreszcie.
To pięknie, bardzo pięknie.... młodziutka się nu- (dzi,
Chce poznać obce kraje, poznać obcych ludzi....
Co robić? trzeba uledz przed niewieścią władzą...
Zresztą, panie Marszałku....
Marszałek.
A chłodnik czy dadzą?
Sędzia.
Zresztą, panie Marszałku....
Marszałek.
Z rakami i lodem.
Sędzia.
Podróż do miłych wrażeń staje się powodem.
Pan Marszałek obaczy, jakie to słodycze
Coraz nowy widoczek....
Marszałek *(zajadając przyniesioną potrawę).*
I ja na to liczę:
Wiedeńskie salcesony głośne w Europie,
W Johanisbergu dobrze winem się zakropię,
W górach Szwajcarskich sery i smaczne i tanie,
A we Włoszech makaron.... historyczny, panie!
To, słyszę, piękna ziemia: oliwa dojźrzewa,
Sardynki prosto z morza, pomarańcze z drzewa...
Podróż mi się uśmiécha; ale będziem w biedzie
Póki człowiek ojczyste granice przejedzie...
Och! wiadomo, wiadomo co u nas podróże!...
(wzdycha.)
Sędzia *(z ukłonem).*
Ja panu Marszałkowi do granicy służę;
A mam właśnie kucharza — talencik nielada,
Czy sosik, czy zraziki, czy wreszcie sztufada,
I prędziuchno i smaczno sporządzi jak z płatka.
A wyborny obiadek, życzliwa gromadka —
Jakoś podróż osłodzą....
Marszałek *(uroczyście).*
O! dziękuję tobie!
Sędzia *(do siebie).*
A w podróży malutki interesik zrobię.
W mieście pełno młodzieży — tu ciągła prze- (szkoda;
A w drodze może jakaś zręcznostka się poda,
Przysłużyć się grzeczniutko, coś przemówić sło- (dziéj...
Pół miliona posagu nie piechotą chodzi...
Dziéwczę wcale nieszpetne....
Marszałek.
Chłodniki mi służą.
(smakując resztki w talerzu)
Wprawdzie za mało octu, a soli za dużo,
A lód niedosyć zimny... ale mniejsza o to.
Sędzia.
Winka, panie Marszałku.
Marszałek.
Wypiję z ochotą.
Sędzia.
Czy Reńskie?
Marszałek.
Wszystko jedno... Reńskie czy Madera...
Po chłodniku od zimna żołądek zawiera.
(dzwoni)
Gdzie służący?... to kara Boża z tą posługą!
Sędzia *(do służącego, który wchodzi).*
Buteleczkę Madery.

Marszałek.

I potrawę drugą.

(Służący ustawia potrawy i naléwa wino.)

Marszałek *(zapijając).*

Biéda! Biéda na świecie!

Sędzia *(z westchnieniem).*

Och! bieda na świecie!

Marszałek *(jedząc).*

Wiész Sędzio!... moja Marya, to szalone dziécię:
Natura rozpieszczona, kapryśna, kobiéca,
Dzisiaj chce szyby z okna, jutro kafli z pieca...
I dogodź tu dziewczynie!... a dogadzać muszę...
Widzę, jakieś cierpienie zatruwa jéj duszę,
Muszę dzielić jéj myśli, zachcenia i zdania;
U mnie serce ojcowskie pełne przywiązania.
Choć zresztą dobre dziécię... lecz nazbyt mię
(męczy;
Bo ja lubię wygodę... minął wiek młodzieńczy...
Pracowaliśmy długo... czas być swobodnemi!

Sędzia *(z westchnieniem).*

Wygódka i swobódka, dwa szczęścia na ziemi,—
I ja do nich Marszałku, wzdycham po kryjomu.

Marszałek *(zapija).*

Widzisz, Sędzio kochany... tyś przyjaciel domu
Ty się ze mną podzielisz mym ciężkim kłopotem...

Sędzia.

Marszałku dobrodzieju! czy wątpiłeś o tém?
Niech się pańskie serduszko we mnie zabezpie-
(czy!

Marzałek.

Słuchaj więc...

(Sędzia przysuwa się konfidencyonalnie.)

Marszałek *(smakując potrawę).*

Mięso twarde, a sos nic do rzeczy!

(do służącego:)

Uważasz? same kości... same dajesz grzbiety!
Przynieś pieczeń huzarską lub bite kotlety.

(do Sędziego:)

Słuchaj więc... moje stare zbliżają się lata...

(do służącego:)

Do kotletów oliwa, ocet i sałata.

(do Sędziego:)

Stare lata nadchodzą... przy innėm zajęciu,
Czas o córce pomyśléć...

Sędzia.

A raczéj o zięciu,
Winka panie Marszałku!

(naléwa mu kielich — do siebie:)

Jesteśmy ciekawi.

Marszałek.

Młodzieży bywa dosyć; — lecz jéj to nie bawi.
Lubiła dawniéj taniec, śpiew, muzykę, stroje;
Dzisiaj tak posmutniała, że się suchot boję.
Na życia czcze i smutne skarzy się koleje...
A co mię bardziéj trwoży... że nic a nic nie je;
Na obiad szklankę mléka... niechże kto mi powié:
Zkąd tu będzie wesołość, zkąd się weźmie zdro-
(wie?
Czyż nie wstyd ci powiadam, być z tak bladą
(twarzą?
Niech ci zrobią rosołu, niech zrazów usmażą,
Posil się, potém zaśniesz — a w jednéj godzinie
Obaczysz, że ci nuda i tęsknota minie...
Czy myślisz, że mię słucha? gdzie tam! ani trocha!

Sędzia *(pół-głosem).*

Może jaka miłostka, może kogo kocha...
Uważa pan Marszałek... potrzeba znać ludzi...

Marszałek.

Gdzie tam?! zabawa męczy, a młodzież ją nudzi...
Młodzieży dosyć bywa — wszyscy nią zajęci;
Lecz ona dziwactwami każdego zniechęci,
Jeden dla niéj zbyt pusty, trzpioce się jak dziécię,
Drugi zbyt hałaśliwie o postępie plecie,
Trzeci nadto strojny, urodą się puszy,
Tamten ma pustkę w głowie, tamten pustkę w du-
(szy.
Do każdego cóś znajdzie, wyszuka, dopatrzy.

Sędzia.

To znaczy dobrą główkę — rozsądek najrzadszy...
Bo tylko zastanów się Marszałek dobrodziéj,
A pewno swoje zdanie z mojém zdańkiem zgodzi.
Patrz na naszych młodziczków, przeznaj ich na-
(łogi:
Znajdziesz, wszystko wietrzniki, trzpioty, de-
(magogi.
Córce pana Marszałka, z serduszkiem i głową,
Słusznie, że się wydają ckliwo i jałowo.
Jéj potrzeba mężulka wcale inszéj treści,
Coby miał wiek dojźrzały... tak... lat ze czter-
(dzieści.

Marszałek.

To może już za wiele.

Sędzia.

Tak... trochę za wiele,
Zdanie pana Marszałka z ochotą podzielę.
Więc... *około* czterdziestu mniéj więcéj... tych (latek...
Trzeba, żeby posiadał powagę i statek;
Człowiek miły, grzeczniutki, choć przyłóż do (rany,
I dobrze z interesów biegiem obeznany.
Bo pytam... dać posażek młodzikowi z miasta,
Nie tylko nieprzysporzy, lecz jeszcze rozszasta.
Trzeba człeka ze sprytem, co da sobie rady,
Urządzi interesa...

Marszałek.

Urządzi obiady —
To rzecz ważna w pożyciu.

Sędzia.

Tak... tak, nieinaczéj.
A może pan Marszałek jeszcze winka raczy?
(naléwa wino)
Potém szklaneczkę lodów... po obiadku zdrowo...
Powinien mieć fortunkę i kwotę gotową;
Bo też dając posagu pół miliona, słyszę,
Niech pan zięć ewikcyjkę na dobrach zapisze...

Marszałek.

Pół miliona posagu!! co ci Sedzio w głowie?

Sędzia *(obojętnie, pijąc wino)*.

A wieleż?... tak... naprzykład...

Marszałek.

Coś dać postanowię,
Może jakich ze trzykroć... ze czterykroć może...
(ziéwa.)

Sędzia *(na stronie)*.

Trzeba go tylko w dobrym utrzymać humorze;
Obiadek jakoś trafi do serduszka sknery...
Hm... sześć procentów... to dwadzieścia cztery...
Niezła roczna intratka... śmiało w Imię Boże!
(głośno)
Marszałku dobrodzieju! niedyskretnie może,
Gdy się spytam... tak sobie... przez ciekawość (marną;
Czy w gronie tych młodzików, co się zewsząd (garną,
Upatrzyłeś już kogo?... tak sobie... zdaleka?...

Marszałek.

Uważałem przed rokiem młodego człowieka,
Który ją szczérze kochał—prawda człek ubogi...

Sędzia.

A jakaż ewikcyjka?...

Marszałek.

Poczekaj mój drogi!
Z dobrém sercem....

Sędzia.

To mniejsza.
(na stronie)
Ciekawość mię drażni.

Marszałek.

Nieboszczyk jego ojciec był ze mną w przyjaźni.
Biedak w końcu podupadł, to się wszystkim zda- (rza...
Ale jakie miał wina!... jakiego kucharza!
To, powiem ci, roskosz nad wszystkie wyrazy!...
Bywało zrazy dają... a ja lubię zrazy...
Tylko, Sędzio... uważasz.... jam kapryśnik stary:
Sos powinien być wonny i pieprzny do miary,
Niedodawać doń octu — tego nienawidzę;
Lecz za to ujdą trufle albo świeże rydze,
Dobrze podsmaż cebulkę... to choć zaproś króla!

Sędzia.

O! dla mnie to przysmaczek smażona cebula...
Lecz ten pan, co o rączkę twéj córki się stara?

Marszałek.

Poczciwy, lecz ubogi...

Sędzia.

To nierówna para.

Marszałek.

Syn mego przyjaciela...

Sędzia.

I tego niedosyć.

Marszałek.

Umie swój niedostatek z godnością przenosić.

Sędzia.

I to jeszcze nie powód.

Marszałek.

Ma ciotkę bogatą,
A kocha moją córkę...

Sędzia.

A ona co na to?

Marszałek.

Widziałem że go kocha — i byłem już gotów,
Dla jego dobrych zasad, dla pięknych przymiotów,
Powierzyć mu jéj rękę... Skrycie się kochali.
Potém on gdzieś wyjechał o sto mil, czy daléj.

Ona długo chodziła tęskna i wybladła,
Wzdychała co godzinę — nic a nic nie jadła,
Aż mi był żal niebogiéj... W tem nadszedł karna-
(wał,
A pamiętam jak dzisiaj — miałem sarny kawał...
Ruszam tedy konceptem, na jaki mi stanie,
I całą naszą młodzież spraszam na śniadanie...
Potém jakoś na obiad... potém wieczór dałem...
Uważam... moja Marya tańcuje z zapałem;
Już wzdycha coraz rzadziéj, a częściéj się śmieje;
Ten i ów, jak uważam, już powziął nadzieję;
Ja na takie odmiany zdala sobie patrzę...
Dziś chce być na wieczorze, a jutro w teatrze,
Pojutrze na szlichtadzie i znów na wieczorze,
Słowem... tak się roztrzpiota, że niedopuść Boże!
Wtém — dawny jéj kochanek, co rok tu niepostał,
Powrócił...— wyznał miłość — i odkosza dostał...
Jeszcze ze dwa miesiące bawił ją wir ludzi;
Potém znów zesmutniła, znowu świat ją nudzi;
Poczęła się urągać z całéj naszéj młodzi,
I znowu często wzdycha — oko łzą zachodzi —
Nic niejé... znak widoczny, że zdrowie nie służy...
A teraz już się gwałtem napiéra podróży;
Rad nierad, muszę jechać...

(drzémie)

Sędzia *(na stronie)*.

To ciekawe rzeczy!
Więc to miłość... miłostka... czyż podróż uleczy?
Lecz nietraćmy nadziei... posażek bogaty,
Do trzydziestu tysiączków doroczněj intraty...
Młode piwko wyszumi... jakoś się uchodzi...

(głośno:)

Otóż tedy, uważa Marszałek dobrodziéj,
Nic nie masz nad wojażyk — rozerwie się trocha,
Może kogo pokocha...

(na stronie:)

I pewno pokocha!
Ja będę jéj wyrządzał grzecznostki nieznaczne,
Zlekka poczernię włosy, które śnieżek pruszy,
I powoli... powoli... wkradnę się do duszy.
Interesik niezgorszy — poprobujmy doli.
Trzeba tylko grzeczniutko — słodziutko — po-
(woli,
A może się powiedzie na drodze zalotów.

Służący *(wchodząc)*.

Pański powóz już gotów.

Marszałek *(budząc się)*.

Co? powóz już gotów?
Weź tedy kosz madery i sera na drogę:
Czasem, widzisz, od nudów posilić się mogę.
W powóz włożyć poduszkę i dwa materace

(dzwoni)

A podajcie rachunek!

Sędzia *(z ukłonem)*.

O! ja sam zapłacę!
Marszałku dobrodzieju, o! Pan Bóg mi świadek,
Chcę mieć szczęście, że dzisiaj mój zjadłeś obia-
(dek.
Rozliczymy się w drodze.

Marszałek.

Niechże i tak będzie.

(do służącego:)

W powozie miękką pościel proszę mieć na wzglę-
(dzie.
Włożyć mi jaką książkę — chociaż nie literat,
Muszę teraz książkami bawić się rad nie rad;
By czytając najlepiéj zasypiać w dni słotne.

Sędzia.

Mam tu właśnie *Gawędki i rymy ulotne*;
Autor ich doświadczony czy w wierszu czy
(w prozie,
Ręczę, że pan Marszałek wnet uśnie w powozie
Na najpiérwszéj karteczce — doświadczona pró-
(ba!

Marszałek.

O! to... to! panie Sędzio!.. to mi się podoba!
Z tylu książek, co dzisiaj piszą dla pieniędzy,
To mi dzieło najlepsze, co uśpi najprędzéj.
Jest przynajmniéj cel pisma...

Sędzia.

A wierszyków zwłaszcza.

Marszałek *(do służącego)*.

Dać kalosze, parasol, niezapomnieć płaszcza —
Szlafmycę i parasol, bo na deszcz się zbiera...
Flaszę Gdańskiéj gorzałki, sucharków i séra,
Lulkę, tytuń, krzesiwo... No! bywajcie zdrowi!
Ruszajmy, panie Sędzio!

Sędzia.

Służę Marszałkowi.

(odchodzą.)

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*